

Kiedy  
zakres obowiązków  
zaczyna wykroczać  
poza umowę...

Po  
GODZINACH

LUDKA SKRZYDLEWSKA

Wszelkie prawa zastrzeżone. Nieautoryzowane rozpowszechnianie całości lub fragmentu niniejszej publikacji w jakiegokolwiek postaci jest zabronione. Wykonywanie kopii metodą kserograficzną, fotograficzną, a także kopiowanie książki na nośniku filmowym, magnetycznym lub innym powoduje naruszenie praw autorskich niniejszej publikacji.

Wszystkie znaki występujące w tekście są zastrzeżonymi znakami firmowymi bądź towarowymi ich właścicieli.

Niniejszy utwór jest fikcją literacką. Wszelkie podobieństwo do prawdziwych postaci — żyjących obecnie lub w przeszłości — oraz do rzeczywistych zdarzeń losowych, miejsc czy przedsięwzięć jest czysto przypadkowe.

Redaktor prowadzący: Justyna Wydra

Helion SA

ul. Kościuszki 1c, 44-100 Gliwice

tel. 32 231 22 19, 32 230 98 63

e-mail: [editio@editio.pl](mailto:editio@editio.pl)

WWW: <http://editio.pl> (księgarnia internetowa, katalog książek)

Drogi Czytelniku!

Jeżeli chcesz ocenić tę książkę, zajrzyj pod adres

<http://editio.pl/user/opinie/pogodz>

Możesz tam wpisać swoje uwagi, spostrzeżenia, recenzję.

ISBN: 978-83-283-6391-5

Copyright © Helion SA 2020

Printed in Poland.

- Kup książkę
- Poleć książkę
- Oceń książkę

- Księgarnia internetowa
- Lubię to! » Nasza społeczność

# Rozdział 1

Dwa kierunki na Harvardzie, pomyślałam z irytacją, stojąc w długiej kolejce. Zarządzanie i marketing, a poza tym zarządzanie zasobami ludzkimi, obydwaj ukończone z wyróżnieniem. Sześć lat pieprzonych studiów w Lidze Bluszczowej, chociaż moi rodzice zawsze uważali, że mi się nie uda.

I po co to wszystko?

Po cholere, powtórzyłam w myślach chyba po raz dziesiąty tego dnia i przesunęłam się o krok do przodu, po czym uśmiechnęłam się do młodej dziewczyny za kontuarem.

— Poproszę mrożoną mocę z dodatkowym syropem waniliowym — wyrecytowałam to samo zamówienie, które składałam codziennie o wpół do dziewiątej rano. To już oficjalne: byłam dziewczyną od waniliowej mokki. — Na odtłuszczonym mleku — dodałam po chwili, całkowicie niepotrzebnie, bo ciemnoskóra baristka i tak doskonale o tym wiedziała.

W końcu zamawiałam tu kawę każdego dnia z wyjątkiem weekendów. Od roku. Od czasu, gdy jako absolwentce dwóch kierunków na Harvardzie zachciało mi się przyjąć posadę asystentki dyrektora generalnego, mając idiotyczną nadzieję, że w ten sposób będę się mogła jakoś wybić.

Po ponad roku pracy dla Ryana nadal byłam dziewczyną na posyłki, która co rano przynosiła mu waniliową mocę. Następnie kserowała dokumenty. Potem odbierała telefony, ustawiała szefowi spotkania, oddawała jego rzeczy do pralni i zamawiała kwiaty jego kolejnym podrywkom. Absolutnie nie tak wyobrażałam sobie obowiązki asystentki dyrektora generalnego jednej z najprężniej rozwijających się w Bostonie firm.

Ale też mój szef nie był dokładnie taki, jak spodziewałam się na początku. Ryan North był młody, niewiele starszy ode mnie, skrajnie

nieodpowiedzialny i zajęty niemalże wyłącznie kobietami. Jakim cudem ta firma jeszcze nie upadła po tym, jak niespełna trzy lata wcześniej przejął ją od przechodzącego na emeryturę ojca, tego nie wiedziałam. Miałam jednak wrażenie, że pomimo władzy, jaką Ryan *de facto* miał w firmie, ona i tak pędziła do przodu wyłącznie siłą rozpędu.

Prawdę mówiąc, nie chciałam być na pokładzie, kiedy wreszcie się zatrzyma.

Opuściłam kawiarnię i skierowałam się w stronę biurowca, w którym pracowałam.

Do Huntington Avenue miałam tylko dwie przecznice, które znałam już właściwie na pamięć, jako że tę samą drogę przebywałam pięć razy w tygodniu. Zręcznie lawirując wąskim chodnikiem między spieszącymi się do pracy ludźmi, z tekturowym opakowaniem na kawę w lewej dłoni, jak zwykle rozglądałam się dookoła i chłonełam widoki. Lubiałam Boston. Spędziłam w tej okolicy całe życie i nawet na studia poszłam możliwie blisko, żeby nie musieć się wyprowadzać z miasta. Na szczęście jeden z najlepszych uniwersytetów w kraju znajdował się prawie za rogiem.

Szeroka, dwupasmowa Huntington Avenue jak zwykle o tej porze tętniła życiem. Wyrastające w niebo nowoczesne, przeszklone wieżowce pochylały się nad kolejkami samochodów czekających na zmianę świateł na najbliższym skrzyżowaniu. Chociaż zaledwie kilkanaście przecznic na północ miasto przeglądało się w wodach Charles River, a niewiele dalej na wschód otwierało na Zatokę Massachusetts, w Back Bay, dzielnicy, gdzie pracowałam, nie miało się wrażenia przebywania tak blisko wody — czy to rzeki, czy oceanu. Widziałam jedynie przeraźliwie niebieskie niebo, przecinane licznymi drapaczami chmur i strzelistymi wieżami kościołów.

Moje szpilki stuknęły o chodnik, gdy wraz z innymi przechodniami doszłam do świateł. Zatrzymałam się na moment, czekając na zielone i obojętnym wzrokiem wpatrując się w mijające nas pędem auta. Jak zwykle w lipcu w Bostonie było ciepło, ale nie gorąco — tego dnia mogło być najwyżej dwadzieścia pięć stopni, odczuwalna temperatura była jednak wyższa ze względu na panującą wilgoć. Nawet moje ciemnobrązowe, zazwyczaj proste włosy zaczynały się w taką pogodę idiotycznie kręcić i puszyć. Ponieważ zwłaszcza w pracy starałam się wyglądać idealnie i profesjonalnie, ciągle mnie to denerwowało.

Dotarłam w końcu na miejsce — kilkudziesięciopiętrowy wieżowiec był siedzibą firmy mojego szefa od kilkunastu lat, czyli niemal odkąd został wybudowany — i przez automatyczne drzwi weszłam do środka, sięgając po drodze do torebki, by znaleźć przepustkę. Jak zwykle pozdrowiłam Rhondę — ochroniarza, ciemnoskórą dziewczynę siedzącą na recepcji przy wejściu — potem zaś wybrałam na panelu windy najwyższe piętro, bo tam właśnie, z najlepszym widokiem na miasto, urzędował mój bezpośredni szef, Ryan North.

Dyrektor generalny North&North Development, tak dla ścisłości.

To drugie „North” zostało dodane do pierwszego, gdy Ryan przejął obowiązki dyrektora generalnego po ojcu, który początkowo częściowo, a potem już zupełnie wycofał się z pracy w firmie, decydując się przejść na emeryturę. Nic dziwnego zresztą — nie poznałam go osobiście, ale od innych pracowników wiedziałam, że w ciągu ostatnich miesięcy sześćdziesięcioletni Charles North przeżył dwa ataki serca, co niemalże wykończyło psychicznie jego o pięć lat młodszą żonę. Gdyby nie zrezygnował z pracy, mogłoby to dla niego skończyć się dużo gorzej.

Jak zwykle o tej porze biuro było na wpół puste. Ze względu na wykładzinę położoną na podłodze korytarza prowadzącego do dyrektorskich gabinetów nie było słycać stukotu moich szpilek, gdy dążyłam do zajmowanego przeze mnie pomieszczenia na samym końcu. Z korytarza wchodziło się do mojego gabinetu, gdzie przy wejściu mieściło się masywne biurko — bo w końcu stanowiłam główną zapórę przeciwko nieproszonym gościom — a po mojej prawej stronie także wielka szafa zawierająca wszystkie niezbędne papierowe kopie dokumentów. Ściana naprzeciwko wejścia była wykonana ze szkła i otwierała się na wspaniałą panoramę Bostonu, a pod nią stała niewygodna sofa dla petentów czekających na audiencję, natomiast na ścianie po lewej od mojego biurka znajdowały się kolejne drzwi, prowadzące już do gabinetu Ryana. Całego szklanego, dodajmy — miał tylko zawieszony na ścianach żaluzje, z których czasami korzystał.

Zwykle wtedy, gdy w pracy odwiedzała go jakaś podrywka.

Co, musiałam oddać mu sprawiedliwość, nie zdarzało się zbyt często. Chociaż Ryan zdecydowanie za bardzo lubił kobiece towarzystwo, starał się korzystać z niego raczej po pracy niż w jej trakcie. Nawet jeśli siedząc

za biurkiem, i tak niezbyt przykładał się do wykonywania swoich obowiązków.

Weszłam do jego gabinetu i wzrokiem ogarnęłam całe pomieszczenie. Jak zwykle panował w nim idealny porządek: biurko naprzeciwko wejścia było czyste, prawie puste, podobnie szklany stolik do kawy z lewej strony, wokół którego stała skórzana sofa i dwa fotele. Za biurkiem znajdowały się zamknięta szczelnie szafa i regał pełen książek na temat prowadzenia firmy, których Ryan z pewnością nigdy nie przeczytał. Na ścianie nad stolikiem zawieszono dużą plazmę, na której mój szef oglądał często rozgrywki futbolowe, a w niszy w głębi pomieszczenia stał okrągły stół z kilkoma krzesłami, tworząc coś w rodzaju niewielkiej strefy konferencyjnej.

Ściana po prawej stronie od biurka, przeszklona, dawała wspaniałą widok na panoramę miasta, w zasadzie taki sam, jaki miałam przed oczami, gdy siedziałam na swoim miejscu: rzędy kilkupiętrowych starych kamienic przetykanych nowoczesnymi wieżowcami, oddzielone od siebie pasami zieleni, kończące się otoczoną parkiem, przeciętą łukami mostów taflą wody — Charles River. Aż po horyzont za oknem rozpościerało się rozrastające się ciągle miasto. Back Bay zaprojektowano bardzo starannie, symetrycznie i geometrycznie, wzorując się na niegdysiejszym projekcie rozbudowy Paryża, co dało się zauważyć z wysokości trzydziestego szóstego piętra. Boston był kolorowy i pełen życia — z niebieską wodą pobliskiej rzeki, zielenią drzew, beżem starszych budynków i kamienic, a także szkłem i stalą tych najnowszych.

Na przeszklonym biurku Ryana — serio, oni tu wszyscy mieli bzika na punkcie szkła, mogłam się przeglądać w połowie biurowych powierzchni — postawiłam kubek z kawą i wyszłam, kierując się w stronę mojego własnego miejsca pracy. Wyciągnęłam laptopa, a czekając, aż się włączy, przejrzałam papiery na biurku, które zostały mi z poprzedniego dnia. Nie było tam jednak nic ciekawego.

Czasami sama nie pojmowałam, po co przychodzę do pracy tak wcześnie, by znaleźć się w niemal pustym biurze. Nie miałam masy roboty do nadgonienia ani stu obowiązków, które musiałam wypełnić przed przyjściem innych. Po prostu lubiłam rozlokować się w ciszy i spokoju, a Ryan lubił, gdy mocca czekała na niego, kiedy przychodził do pracy. Ponieważ zaś nigdy nie zostawał dłużej niż sześć godzin, ja sama nie

musiałam siedzieć po godzinach, by być w firmie przed nim i wychodzić po nim. Pod tym względem to zawsze było łatwe.

Ta praca w ogóle nie stawiała przede mną żadnych wyzwań, nad czym nieustannie ubolewałam.

— Cześć, Indy. — Sekretarka dyrektora finansowego, blondwłosa Diana, zadrzała do mnie specjalnie, bo do biura Ryana nie było po drodze nikomu. Przecież znajdowało się na samym końcu korytarza. — Ryana jeszcze nie ma?

Posłałam jej nieufne spojrzenie, którym zupełnie się nie przejęła. Diana była ładna, dopiero co ukończyła college i miała najdłuższe nogi, jakie kiedykolwiek widziałam, które chętnie pokazywała, tak jak i dzisiaj, gdy miała na sobie szarą ołówkową spódnicę przed kolano — *dress code* jednak obowiązywał.

— Nie ma — potwierdziłam zdawkowo. — Chcesz, żebym coś mu przekazała?

— Nie, nie będę cię fatygować — odpowiedziała beztrzesko, zawieszając się na klamce i machając z lekceważeniem ręką. Jej umalowane na różowo usta wygięły się w lekkim uśmiechu. — Najwyżej potem go złapię.

Bardzo chciałam zapytać, czy dyrektor finansowy miał do mojego szefa jakąś sprawę, ale ostatecznie się powstrzymałam. W gruncie rzeczy nie obchodziło mnie, co Ryan robi z Dianą po pracy. A nawet w jej trakcie. Gdyby obchodziło mnie to choćby ciut bardziej, może ostrzegłabym Dianę, jak zazwyczaj kończą się romanse w pracy, ale ponieważ tak nie było, skierowałam wzrok z powrotem na monitor i wróciłam do przeglądania wiadomości w jakimś portalu informacyjnym. „ŚMIERĆ W RATUSZU”, głosiła jedna z nich czerwonymi literami.

— Będzie za jakieś dziesięć minut — zapowiedziałam tylko, na co Diana podziękowała i się ulotniła. Nie mogłam powstrzymać ostatniego spojrzenia na jej kształtny tyłek.

Zgodnie z moimi słowami Ryan przyszedł niedługo później. Słyszałam go już z daleka, bo większość ludzi zdążyła się zejść do biura i pozdrawiali go wszyscy po drodze. Może i był nierobem, ale z pewnością pracownicy go lubili i naprawdę nie wiedziałam, jak on to robił. To znaczy jasne, miał w sobie mnóstwo uroku. Mimo wszystko jednak widziałam w nim przede wszystkim lenia i niebieskiego ptaka, który nigdy nie zamierzał dorosnąć.

— Indy, jak dobrze, że już jesteś — wymamrotał na mój widok, na co odruchowo podniosłam głowę znad ekranu laptopa. Potem uniosłam także brwi. — Mogłabyś podać mi szklanek wody? Och, już nie patrz tak na mnie. Tobie też na pewno nie raz zdarzyło się zabalować.

— Widziałeś kiedyś, żebym przyszła do pracy w okularach przeciwsłonecznych? — zapytałam bezlitośnie. Ryan westchnął cierpiętniczo.

— No dobrze, więc może nigdy ci się nie zdarzyło. W końcu jesteś pieprzonym robotem. Będę u siebie. Moja kawa?

— Na biurku, jak zawsze — odparłam, wstając z fotela. Ryan uśmiechnął się pięknie, całym zestawem swoich śnieżnobiałych, prostych zębów. Jego rodzice musieli wydać fortunę na ortodontę.

— Dzięki, jesteś aniołem, kochanie.

— To w końcu aniołem czy robotem? — spróbowałam uściślić, ale tylko się zaśmiał i zamknął w swoim gabinecie, nie szukając odpowiedzi. Z westchnieniem nalałam mu wody ze stojącego w kącie dystrybutora i skierowałam się w stronę jego gabinetu.

Ryan North ledwie miesiąc wcześniej świętował trzydziestkę. To ja musiałam mu wtedy po nocy zamawiać taksówkę z klubu nocnego, bo nie miał jak wrócić do domu. Wysoki, szczupły, o ciemnoblond, krótko ostrzyżonych włosach i bladoniebieskich oczach stanowił książkowy przykład playboya i łamacza serc. Dzięki wyniesionemu z domu dobremu wychowaniu traktował kobiety z atencją, ale szybko się nimi nudził i skakał z kwiatka na kwiatek. Nosił się zawsze nienagannie, jak tego dnia, ubrany w stalowy garnitur i granatowy krawat do białej koszuli, wszystko skrojone na miarę, świetnie na nim leżące. Przypominał w tym stroju prawdziwego człowieka biznesu, a nie playboya, który odziedziczył po ojcu firmę, nie mając pojęcia, jak się nią zajmować.

Miał luzacki sposób bycia, pełen wdzięku, który tak zachwycał kobiety, umiejętność gładkiego wypowiedzania się i odnalezienia w absolutnie każdej sytuacji, nienaganną postawę i uważne, zwykle lekko rozbawione spojrzenie, pod którym często czułam się nieswojo. Może to dlatego, że Ryan wszystkie kobiety rozbierał wzrokiem, zapewne namyślając się, czy dobrze wyglądałyby w jego łóżku. Podejrzywałam, że przyzwyczał się do tego tak bardzo, że nie potrafił już zrobić wyjątku i spojrzeć w jakikolwiek inny sposób na jakąkolwiek kobietę w przedziale wiekowym od dwudziestu do czterdziestu pięciu lat. Albo nawet pięćdziesięciu, kto wie jakie dokładnie miał preferencje.



Mnie jednak Ryan nigdy nie próbował uwodzić. To pewnie miało coś wspólnego z tą jego zasadą o nieromansowaniu w pracy, do której niegdyś zmusił go ojciec. Albo po prostu byłam wyjątkiem i nie podobałam się Ryanowi, trudno powiedzieć. Ja w każdym razie zdawałam sobie sprawę, jaki jest przystojny, i nie mogłam stwierdzić, że to nie robiło na mnie wrażenia, ale równocześnie doskonale wiedziałam, że z tego nigdy nic nie mogłoby wyjść. Bo Ryan był moim szefem, playboyem i emocjonalnym pięciolatkiem. Nie lubiłam tego typu mężczyzn.

Oczywiście jako swoich facetów. Jako szef i dobry znajomy Ryan był całkiem w porządku. Gdyby tylko nie kazał mi zamawiać sobie lunchu do biura i odbierać swoich rzeczy z pralni.

— Twoja woda, proszę. — Schyliłam się, by postawić szklankę na biurku, dzięki czemu miałam bardzo dobry widok na nieco bladą twarz Ryana, w połowie zasłoniętą okularami przeciwsłonecznymi. Westchnął i przejechał ręką po krótkich włosach, trochę je mierzwiąc.

— Dzięki, Indy, naprawdę jesteś jedyna w swoim rodzaju.

— Bo przyniosłam ci wodę? — Ponownie uniosłam brwi. — Naprawdę tylko tyle wystarczy, żeby asystentka była dla ciebie idealna?

— O rany, prosiłem cię, żebyś tak na mnie nie patrzyła — jęknął. — Masz spojrzenie zupełnie jak moja matka.

Prychnęłam. Pewnie jego matka też nie była do końca zadowolona z zachowania swojego młodszego syna. Niby nie powinno mnie to obchodzić, ale mimo wszystko denerwowało mnie, że ktoś taki był moim szefem. I bez żadnego wysiłku zdobył takie stanowisko tylko dlatego, że jego ojciec założył tę firmę.

— Widocznie twoja matka jest bardzo mądrą kobietą — odpowiedziałam. Niechętnie pokiwał głową.

— Owszem, jest. Chociaż nie wiem, jak doszłaś do takiego wniosku.

— Pewnie, udawaj dalej, że nie wiesz. — Odwróciłam się na pięcie i skierowałam w stronę drzwi. — Gdybyś czegoś potrzebował, będę u siebie.

— Indy! — krzyknął za mną, gdy byłam już przy drzwiach. Zatrzymałam się z ręką na klamce i odwróciłam do niego. — Zamów, proszę, kwiaty dla Camilli. Jakiś ładny, duży bukiet. Wyślij na ten sam adres co ostatnio.

Skinęłam głową, zaciskając mocno szczęki, żeby nie powiedzieć czegoś, czego mogłabym potem żałować. Bez słowa wyszłam z gabinetu

i opadłam na krzesło przy swoim biurku. Rodzice byłiby ze mnie dumni, gdyby wiedzieli, jaki zawrotny sukces odniosłam.

Sama nie wiem, dlaczego nie chciałam im powiedzieć. Wolałam wmawiać im, że robię coś pożytecznego i naprawdę ambitnego. Może to dlatego, że rodzice generalnie nie przepadali za korporacjami i nie rozumieli, dlaczego akurat tam chciałam robić karierę. Gdybym chociaż ją robiła, mogliby to jakoś przełknąć, a tak... Nie miałam odwagi przyznać się, jak naprawdę wygląda moja praca. Chociaż na pewno by mnie zrozumieli, miałam wrażenie, że uznaliby, że tracę czas i się marnuję.

Przed południem musiałam zająć się kolejną istotną kwestią — zamówić Ryanowi lunch. Zdążyłam tylko odłożyć słuchawkę, gdy telefon rozdzwonił się ponownie. Rozpoznałam numer, przez co odruchowo się uśmiechnęłam.

— Cześć, Kim — rzuciłam, gdy odebrałam. — Co słysząc? Co tam u Jessie?

— Cześć. A dziękuję, wszystko dobrze. — Jasny, czysty głos Kim od razu poprawił mi humor. Chociaż nigdy nie widziałyśmy się na żywo, bardzo często rozmawiałyśmy przez telefon i traktowałam ją jak przyjaciółkę. Ostatnio opowiadała mi o chorobie córki, od tego więc zaczęłam naszą kolejną rozmowę. — Poleżała trochę w łóżku i brała antybiotyki, bo dostała zapalenia oskrzeli. Ale teraz już wszystko w porządku. A co tam u ciebie?

— Ach, nic nowego. — Obejrzałam się na gabinet Ryana, gdzie mój szef właśnie na wpół leżał na skórzanej sofie i oglądał coś na swojej ogromnej plazmie. — Czemu zawdzięczam twój telefon?

— Vincent prosił, żeby przekazać, że wpadnie do Bostonu. Jutro. — Głos Kim w jednej chwili spowaźniał. W końcu od trzech lat była asystentką Vincenta, na pewno nauczyła się doskonale oddzielać pracę od spraw prywatnych. I zachowywać powagę wtedy, kiedy tego od niej wymagano. — Ma już zarezerwowany lot. Gdybyś wysłała po niego kogoś na lotnisko, byłabym bardzo wdzięczna.

— Jasne. — Przytrzymałam słuchawkę między ramieniem a brodą i poszukałam samoprzylepnych karteczek, żeby zapisać potrzebne dane. — Podaś mi numer lotu i godzinę przylotu? Zajmę się wszystkim.

— Świetnie, wiedziałam, że mogę na ciebie liczyć — ucieszyła się.  
— Vincent był ostatnio nie w sosie i chyba nie dogadywał się najlepiej z Ryanem, więc wolałabym tego na Ryana nie zrzucić.

— To nie ma żadnego znaczenia, bo i tak kazałby wszystko załatwić mnie — prychnęłam. Czasami miałam wrażenie, że mój szef nie wie nawet, jak się zamawia taksówkę. — Na jak długo przyjeżdża Vincent? Na weekend?

Na chwilę w słuchawce zapanowała cisza. I już wiedziałam, że coś jest na rzeczy.

— Chyba na dłużej — odpowiedziała Kim niepewnie. — Kazał mi zarezerwować sobie apartament w centrum.

Apartament, nie hotel. To faktycznie mógł być znak, że Vincent przyjeżdżał na dłużej. Nie rozumiałam tylko, dlaczego Kim mówi o tym w ten sposób. Tak jakby sama nie wiedziała, co o tym myśleć.

— A co z firmą? — zapytałam. — Vincent przecież nigdy nie zostawia jej samej.

— Chyba nie powinnam o tym z tobą rozmawiać, Indy.

Serio? Rozumiałam zawodowy profesjonalizm, ale Vincent był w końcu starszym bratem Ryana. Jakkolwiek by się nie dogadywali, w istotnych kwestiach nigdy się nie okłamywali i raczej nie mieli przed sobą sekretów. Bardzo często Kim opowiadała mi, co się dzieje w firmie Vincenta. Jako jego asystentka była bardzo dumna, że w przeciwieństwie do Ryana starszy z braci Northów nie odziedziczył biznesu po rodzicach, tylko doszedł do wszystkiego sam — a naprawdę miał się czym pochwalić.

— W porządku, nie chcę, żebyś miała przeze mnie jakieś problemy — odpowiedziałam w końcu z namysłem. — Przekażę Ryanowi, że Vincent przyjeżdża na dłużej. Dziękuję za telefon.

Czekałam chwilę na jej pozdrowienie, ale w słuchawce ciągle panowała cisza, jakby Kim biła się z myślami. W końcu nie wytrzymała:

— Indy, musisz zatrzymać dla siebie to, co ci teraz powiem...

— Dobra — przytaknęłam, nienawidząc się za okłamywanie jej: doskonale wiedziałam, że i tak przekażę to Ryanowi. Byłam złym człowiekiem.

— Krążą plotki, że Vincent chce sprzedać firmę.

Vincent miałby sprzedać firmę? Tę samą, którą rozkręcał od zera? Swoje dziecko? Firmę zajmującą się digital marketingiem, która z każdym

rokiem sukcesywnie się rozrastała i zgarniała kolejnych klientów — międzynarodowe spółki i koncerny? Przecież kochał ten biznes!

Z drugiej strony, nigdy nie byłam pewna niczego, jeśli chodziło o Vincenta. Chyba nie znałam innych tak bardzo niepodobnych do siebie braci. Vincent był pracowity, skupiony na firmie i jej rozwoju i ambitny, to prawda. Ale był również chłodny w obejściu, nieobnoszący się z uczuciami, zdystansowany, poważny i mało mówny. Nigdy nie widziałam go uśmiechniętego i zawsze przechodziły mnie ciarki, gdy wkraczał do biura. Na szczęście nie robił tego często — odkąd zaczęłam pracować u Ryana, widziałam go ze trzy razy. O trzy za dużo.

— Ale czemu miałby to robić? — zdziwiłam się. — Przecież ona świetnie prosperuje. W ubiegłym roku zwiększyliście obroty o sto dwadzieścia procent!

— Skąd to wiesz? — Tym razem to Kim była zdziwiona. Zaśmiałam się.

— Uwierz mi, mam swoje źródła.

— Tak czy inaczej nie wiem, to tylko plotki, on sam nic mi nie mówił — odparła. — Ale sama pomyśl. Jeśli to prawda, to po co Vincent miałby przyjeżdżać do Bostonu? Mam nadzieję, że nie o to chodzi, bo w końcu jest moim szefem, chcę być wobec niego lojalna i nawet go lubię, ale Boston? Pomyślałam, że zasługujecie na ostrzeżenie. Znam Vincenta i wiem, że jak się przy czymś uprze, to zawsze to osiągnie.

Przyjazd do Bostonu i sprzedaż firmy. Już wiedziałam, co Kim mogła mieć na myśli.

Jeśli rzeczywiście tak było, należało działać bardzo ostrożnie.

Zanotowałam od niej dane lotu Vincenta i zakończyłam wreszcie rozmowę, dziękując za wszystkie informacje. Zaraz potem ponownie chwyciłam za słuchawkę i zorganizowałam transport dla Vincenta z lotniska prosto pod adres apartamentu, który podała mi Kim. Nie wiedziałam, czy nie będzie chciał od razu jechać do firmy, ale jeśli miałam w ten sposób kupić Ryanowi choćby pół godziny spokoju więcej, byłam gotowa zaryzykować. Następnie z kartką i niepewnym uśmiechem na twarzy skierowałam się do gabinetu mojego szefa, gdzie na płazmie przewijały się kolejne scenki z jakiegoś meczu futbolu. Co za kretyński sport. A Ryan musiał go jeszcze oglądać w godzinach pracy.

Ponieważ w pierwszej chwili w ogóle nie zwrócił uwagi na to, że przyszedłam, chrząknęłam i oparłam się o framugę drzwi, aż w końcu

raczył na mnie spojrzeć. Niechętnie sięgnął po pilota do telewizora i zmniejszył głośność, żebym mogła go w ogóle usłyszeć.

— Mój lunch zamówiony? — zapytał jakby nigdy nic. Skinęłam głową.

— Tak, ale...

— Kwiaty do Camilli wysłane?

— Oczywiście. Ale...

— Zarezerwuj, proszę, na wieczór stół w jakiejś ładnej, kameralnej knajpcie — wszedł mi znowu w słowo. — Dla dwóch osób. Byleby to nie było sushi, Becca ma uczulenie na surową rybę.

Kolejna przyjaciółka Ryana. Czasami zastanawiałam się, czy prowadzi kalendarz z oficjalną tabelą, w który dzień tygodnia spotyka się z którą dziewczyną. Znając go, inaczej już dawno mógłby coś pomieszać.

— Jasne — przytaknęłam, zdecydowana, by wreszcie dokończyć zdanie. — Powinieneś...

— Myślałem też nad wynajęciem jakiegoś domku na weekend — przerwał mi znowu. Miałam coraz większą ochotę go uderzyć. — Mogłabyś spojrzeć na najciekawsze oferty z okolicy? Może Peaks Island?

— To ponad dwie godziny drogi stąd — przypomniałam mu, na co wzruszył ramionami. Ciekawe, którą przyjaciółkę zamierzał zabrać na ten romantyczny wypad. — Z tego, co kojarzę, promy odpływają od rana, więc najlepiej byłoby spędzić noc gdzieś po drodze. Może Portland Regency Hotel? Chyba już tam kiedyś spałeś.

— Jestem pewien, że wybierzesz coś ładnego. Dla dwóch osób, oczywiście.

— Oczywiście — mruknęłam, a potem wreszcie przeszłam do ofensywy. — Problem w tym, że przed chwilą dzwoniła Kim. Jutro przyjeżdża Vincent. Kim twierdzi, że zamierza zostać tutaj na dłużej, wynajęła mu nawet apartament zamiast jak zwykle pokoju w hotelu. Myślisz, że w takiej sytuacji weekendowa wycieczka to dobry pomysł?

Ryan zmarszczył brwi i już wiedziałam, że skutecznie pokrzyżowałam mu plany. Dobrze, skoro ja się martwiłam, on tym bardziej powinien.

— Cholera — mruknął, a ja odetchnęłam z ulgą. Okej, Ryan się przejął. To znaczyło, że zaraz pewnie usłyszę, że oczywiście zajmie się tym, że nie powinnam się przejmować... — Skoro Vince wpada, na

pewno będzie chciał, żeby go zabrać na imprezę albo coś. W cholerny weekend! Ekstra, w takim razie nici z mojego wypadu za miasto.

Skrzywiłam się. Że też jeszcze oczekiwałam po Ryanie jakichkolwiek dojrzałych reakcji.

— Nie zastanawia cię, po co przyjeżdża? — drażylałam, niegotowa, by porzucić ten temat. — W dodatku najwyraźniej na dłużej? Przecież to brzmi...

— Jak? Podejrzanie? — Ryan przerwał mi z pobłażaniem. — Proszę cię, Indy, nie szukaj problemów tam, gdzie ich nie ma. Przyjeżdża, to przyjeżdża, po co robić z tego aferę. Może chce odwiedzić rodziców? Dawno chyba u nich nie był.

„Chyba”, bo Ryan sam tak często ich odwiedzał, że nie potrafił nawet dojechać do ich domu bez włączonego GPS-a, pomyślałam złośliwie. Skąd więc miał wiedzieć, jak często robił to jego starszy brat?

— Kim twierdzi, że Vincent szykuje się do sprzedania firmy. — Wytoczyłam działa ostateczne. Ryan jednak, ku mojej rosnącej irytacji, tylko prychnął.

— Vince w życiu nie sprzeda firmy, jego asystentka musiała coś pomylić. Przecież on kocha tę robotę. I w życiu nie wyprowadziłby się na stałe, uważa Boston za zapadłą dziurę, jego zdaniem tylko w Nowym Jorku robi się prawdziwy biznes. Co za ograniczony głupek. Naprawdę nie masz się czym niepokoić, Indy, gwarantuję, że twoja posada jest niezagrażona.

Hurra.

Prawie zaczęłam skakać z radości.

— A skoro Vince przyjeżdża — dodał po chwili zamyślnym tonem, nie doczekawszy się mojej odpowiedzi — to może dowiedz się od Kim, którym samolotem przyleci i o której? Podstawimy mu kierowcę na lotnisko.

— Już to załatwiłam — odparłam, ponownie i bez trudu wchodząc w rolę idealnej asystentki. — Transport bezpośrednio do apartamentu. Coś jeszcze?

— Na pewno będzie chciał wyjść gdzieś ze mną w weekend. — Ryan skrzywił się z niechęcią. — Kolacja z Beccą dzisiaj jest aktualna, oczywiście, ale jutro... Sam nie wiem. Które lokale ze striptizem są teraz modne?

Uniosłam brew, ale poza tym w żaden sposób nie zareagowałam na jego uwagę. Lokale ze striptizem, serio? Tam chciał zabrać starszego

brata? Kiedy myślałam, że już nic w wykonaniu Ryana mnie nie zdziwi, on przekonywał mnie, jak bardzo się myliłam.

Chociaż z drugiej strony, może po prostu w przeciwieństwie do mnie znał Vincenta? Może ten gbur w garniturze właśnie takie lokale lubił?

— No tak, po co ja cię w ogóle pytam, robocie — zaśmiał się po chwili Ryan, dochodząc widocznie do wniosku, że moje milczenie jest jedyną możliwą do uzyskania odpowiedzią na jego pytanie. — Przecież ty pewnie w życiu nie byłaś w klubie ze striptizem. Dobra, niech będzie Glass Slipper. Najpierw stolik w Ocean Prime, Vince na pewno doceni dobry stek. Powiedzmy na ósmą. A na dziesiątą łoża w Glass Slipper. Zapamiętałaś?

Skinęłam głową, zaciskając mocno zęby, by nie powiedzieć, że nie jestem kretynką i potrafię spamiętać dwie nazwy knajp bez zapisywania każdej najmniejszej informacji w planerze, jak to robi Diana. Ryan uśmiechnął się z zadowoleniem.

— No to ekstra, mamy wszystko załatwione. Jeśli Vince coś knuje, na pewno wyciągnę to z niego po pokazie, sama zobaczysz. Tak że nie musisz się już niczym martwić, bo widzę, że cały czas chodzi ci to po głowie. Zadowolona?

Prychnęłam, odwracając się na pięcie.

— To twoja firma, nie moja — rzuciłam na odchodnym. — To tobie powinno zależeć na jej utrzymaniu, nie mnie!

## Rozdział 2

Kashmir, kameralna kolacja dla dwojga w czwartek. Z tego, co pamiętałam, Becca lubiła hinduską kuchnię.

Ocean Prime, steki dla dwóch osób na ósmą w piątek. A potem Glass Slipper — czyli Szklany Pantofelek — na dziesiątą.

Cholerne rezerwacje. To właśnie robiłam na co dzień.

Na szczęście nie tylko to.

Od czasu do czasu Ryan musiał jednak trochę popracować. Albo chociaż udawać, że pracuje. Choć właściwie wszystko robili za Ryana jego podwładni, zdarzało się, że musiał umawiać się z nimi na spotkania, podczas których omawiali strategię rozwoju firmy lub nowe inwestycje; poza tym podpis dyrektora generalnego musiał znaleźć się na każdym kontrakcie. Ponieważ zaś on nie miał czasu (akurat) ani ochoty (już prędzej) ich czytać, to ja zajmowałam się ogarnianiem tych kontraktów za niego.

Zazwyczaj robiłam to raz w tygodniu, w piątki, chyba że dostałam na biurko coś bardzo pilnego. Z niecierpliwością czekałam na te piątki. Jeśli najbardziej pasjonującym zajęciem w pracy staje się czytanie znormatyzowanych umów, to chyba oznacza, że coś jest z tą pracą nie tak.

Z moją zdecydowanie coś było nie tak, ale już się do tego przyzwyczaiłam.

Kiedy w piątek dotarłam do biura, zajęłam się standardowo czytaniem kontraktów, a następnie streszczaniem ich dla potrzeb Ryana na żółtych samoprzylepnych karteczkach. „Umowa z podwykonawcą — budowa kompleksu mieszkalnego Sky View”, napisałam na jednej z nich, a potem wzięłam się za kolejną. „Wykup działek pod przestrzeń biurową, centrum”. Dopiero przy ostatniej się zastanowiłam. „Sugeruję spotkanie z Murphym, żeby to dokładniej omówić”, napisałam w końcu. Zawahałam się i chciałam jeszcze coś dodać, ale w tej samej chwili drzwi biura otworzyły się i stanął w nich Ryan.



Zgodnie z moimi przewidywaniami wyglądał kiepsko. Tym razem jednak nie miał okularów przeciwsłonecznych, co uznałam za spory postęp.

— Jak to dobrze, że dzisiaj piątek — wymamrotał zamiast powitania. — Mogłabyś przysłonić okna? Strasznie mocno słońce świeci.

Zerknęłam za okno, za którym lipcowe słońce przeglądało się wesoło w przeszklonych ścianach sąsiednich wieżowców. Zmarszczyłam brew, ale bez słowa sięgnęłam po pilota i opuściłam nieco żaluzje. Ryan westchnął cierpiętniczo.

— Dzięki, jesteś wielka.

— Naprawdę niewiele trzeba, żeby kobieta w twoich oczach stała się wielka — powiedziałam cierpko. — Zamierzasz przyjść kiedyś do pracy trzeźwy i nie na kacu?

— Gdybyś tylko nie zachowywała się jak moja matka — wymamrotał znowu, odwracając się ode mnie i wchodząc do swojego gabinetu. Westchnęłam.

— Ryan, mam umowy do podpisu. Mogę...

— Za pół godziny! — odrzyknął, po czym trzasnął drzwiami. Z satysfakcją zauważyłam, że musiało się to odbić echem w jego obolałej głowie.

Ze złością przyklepiłam ostatnią karteczkę i wpatrzyłam się w monitor laptopa, żeby nie zacząć krzyczeć. Dlaczego ze wszystkich szefów na świecie to mnie musiał się trafić taki beztroski, nieodpowiedzialny, bezmyślny, niedojrzały, głupi...

Moja prywatna komórka zadzwoniła, zanim zdążyłam dokończyć tę wielce nieżyczliwą myśl. Uśmiechnęłam się odruchowo i nastrój nieco mi się poprawił, gdy zobaczyłam na wyświetlaczu numer Logana.

— Cześć, Indy — przywitał się ze mną wesoło. — Dzwonię, żeby się przypomnieć. Pamiętasz o dzisiejszej kolacji?

— Jak mogłabym zapomnieć. — Zaśmiałam się. — Przypominacie się codziennie od początku tygodnia. W poniedziałek dzwoniła mama, we wtorek Nick, w środę mama, w czwartek tata, dzisiaj ty...

— Może to dlatego, że ostatnio ciągle wymawiasz się pracą, siostra — prychnął lekceważąco, zupełnie nie przejmując się moimi słowami. — Dlatego żeby się upewnić, że dotrzesz na miejsce, wpadnę po ciebie po pracy. O której kończysz?

— Po pierwsze, nie wpuszczą cię na górę — zaprotestowałam natychmiast. — Po drugie, jestem dorosła i sama trafię do rodziców, serio.

— Daj spokój, nie masz nawet samochodu. Zawiozę cię. A na policyjną blachę wejść absolutnie wszędzie, uwierz mi.

Znowu się zaśmiałam, a zajęta rozmową z bratem prawie nie zauważyłam, jak obok mnie przemknęła Diana i skierowała się prosto do gabinetu Ryana. W ostatniej chwili zasłoniłam dłonią głośnik w telefonie.

— A ty dokąd?! — zawołałam za nią. Diana obejrzała się na mnie niechętnie.

— Do Ryana, nie widać? Mam do niego sprawę. Służbową.

Zanim zdążyłam zaprotestować, zniknęła w gabinecie mojego szefa, cicho zamykając za sobą drzwi. Przez moment trwałam w bezruchu, ciekawa, czy Ryan ją wyrzuci, ale potem, ku mojemu zdziwieniu, żaluzje w jego gabinecie opadły, odcinając mnie od nich obojga.

Służbowa sprawa, jasne...

— Indy?! Jesteś tam?! — darł się tymczasem Logan do słuchawki. Niechętnie wróciłam do przerwanej rozmowy telefonicznej.

— Tak, przepraszam cię, musiałam coś... załatwić. Dobra, chcesz, to wpadaj, kończę o piątej. Tylko błagam, nie narób mi wstydu, dobrze?

— No wiesz, siostra? — zdziwił się obtudnie. — Czy ja kiedykolwiek narobiłem ci wstydu?

Kiedy wreszcie skończyłam z nim rozmawiać, odłożyłam komórkę i z irytacją wpatrzyłam się w zasłonięty przede mną gabinet Ryana. Miałam swoje podejrzenia, co dzieje się w środku, i z niewiadomych mi względów strasznie mnie to denerwowało. Może dlatego, że romanse w pracy zawsze uważałam za coś idiotycznego, a Ryan zawsze twierdził, że podziela moje zdanie, zwłaszcza po tym, jak ustalił to z ojcem, który był im bardzo przeciwny. I dla kogo Ryan je zmienił, dla Diany?

Czekając, aż zwolni się miejsce w gabinecie mojego szefa, dopisałam jeszcze kilka zdań do samoprzylepnych karteczek i umówiłam spotkanie z Murphym na lunch w poniedziałek. Potem zerknęłam na komórkę i przypomniałam sobie rozmowę z bratem.

„Nie narobię ci wstydu”, jasne. Jakby nie zdarzyło mu się wejść do mojej poprzedniej pracy, gdy jeszcze dorabiałam w trakcie studiów, machnąć policyjną odznaką i dać do zrozumienia, że ma do mnie sprawę. Wszyscy wtedy spodziewali się, że wyprowadzi mnie w kajdankach.

Ale też to było całkiem w stylu mojego brata.

Kiedy drzwi gabinetu Ryana wreszcie się otworzyły, uważnie przyjrzałam się wychodzącej na zewnątrz Dianie. Właściwie nie wiedziałam, czego się spodziewać — rozmażanej szminki? niedopiętej koszuli? — ale nie znalazłam niczego. Diana pod moim spojrzeniem zarumieniła się lekko, ale nic nie powiedziała, tylko podniosła głowę wyżej i wymaszerowała z biura.

Zacisnęłam mocno zęby i pozbierałam wszystkie dokumenty z biurka, żeby zanieść je mojemu szefowi. Nie zamierzałam dawać mu nawet minuty, żeby się pozbierał. Niby dlaczego miałabym to robić?

Ryan siedział wygodnie rozparty na kanapie naprzeciwko plazmy, która jednak była wyłączona. Czytał coś — wyglądało na jedną z tych kretyńskich męskich gazet, dzięki którym faceci wydają się sobie jeszcze bardziej męscy. Na mój widok odłożył ją na bok i uśmiechnął się leniwie.

— No dobra, to co dla mnie masz, Indy? Siadaj.

Poklepał dłońią miejsce obok siebie na kanapie, usiadłam więc sztywno, a umowy rzuciłam mu na stolik kawowy. Ryan westchnął na ten widok.

— Ach, więc to ten dzień w tygodniu.

Jeśli ja uwielbiałam piątki, bo wreszcie mogłam zająć się prawdziwą pracą, to Ryan dokładnie z tego samego powodu ich nienawidził. Wołał dni, w które mógł spokojnie oglądać telewizję, umawiać się na biznesowe lunche i swobodnie dyskutować z dyrektorami poszczególnych działów, co według niego miało być „trzymaniem ręki na pulsie”. Dziwiłam się, że nikt nie doniósł jeszcze jego ojcu, jak niewiele Ryan robi w rodzinnej firmie.

— Wiesz co, Indy... — Ryan z niechęcią podniósł pierwsze pismo i obejrzał je z obydwu stron. — Powinniśmy jakoś zmienić tę procedurę. Kto powiedział, że mój podpis na wszystkich kontraktach jest w ogóle niezbędny? Czy nie moglibyśmy...

— Twój ojciec tak zdecydował, kiedy jeszcze tu rządził — weszłam mu natychmiast w słowo. — Chciał mieć wgląd we wszystkie dokumenty i kontrolę nad zawieranymi umowami. Naprawdę nie możesz się zmusić, żeby robić dla tej firmy przynajmniej tyle?

— Przecież ja i tak się na tym nie znam. — Zaśmiał się. — Jeśli ktoś decyduje, czy są w porządku, to tylko ty.

— No więc masz szczęście, że twoja asystentka się na tym zna — uciełam dyskusję i podsunęłam mu umowy. — Ty możesz przynajmniej

spędzić pół godziny, żeby mnie wysłuchać i je podpisać. Nie zostaniesz od tego pracocholikiem, gwarantuję.

Wolałabym dać się pociąć, niż oddać komuś jedyną prawdziwą pracę, jaką wykonywałam w tej firmie.

— Dobrze już, dobrze, daj te papiery i referuj — mruknął, pokonany, na co uśmiechnęłam się lekko.

Tym razem wygrałam, ale zdawałam sobie sprawę, że ten temat wróci jeszcze jak bumerang. Pozostawało mi chyba tylko mieć nadzieję, że do tego czasu znajdę pracę gdzie indziej. Na razie nic jeszcze nie robiłam w kierunku zmiany posady; częściowo dlatego, że ciągle żywiłam głupią nadzieję na zmianę nastawienia Ryana, a częściowo dlatego, że... po prostu nie chciałam go zostawić samego. Cóż mogłam na to poradzić, że zdążyłam przywiązać się do tego błazna i źle mi było na myśl, że miałabym go porzucić?

Zreferowałam mu pokrótce treść poszczególnych kontraktów, a Ryan zaczął je podpisywać bez większego entuzjazmu, jednak zgodnie i w miarę sprawnie. Kiedy już uporaliśmy się z wszystkimi poza tym od Murphy'ego, bo musiałam jeszcze powiedzieć Ryanowi o zaplanowanym lunchu, poskładałam je w zgrabny stosik i podniosłam się, żeby je odnieść do siebie. Ryan jednak zatrzymał mnie, kładąc mi dłoń na ramieniu, mimowolnie więc usiadłam z powrotem obok niego.

— Chciałaś pogadać o czymś poza umowami? — W odpowiedzi posłałam mu jedynie pytające spojrzenie. — No przecież widzę, że coś cię gryzie. Mówisz mniej niż zwykle i bardziej niż zwykle skupiasz się na pracy. Może i jesteś robotem, ale nawet po tobie widać, kiedy zachowujesz się jeszcze bardziej nieludzko niż na co dzień.

Przewróciłam oczami. Strasznie mnie denerwowało, że Ryan nazywa mnie „robotem” tylko dlatego, że gdy znajdowaliśmy się w jednym pomieszczeniu, to ja byłam jedyną w nim osobą, która kiedykolwiek myślała o pracy.

— To nie moja sprawa — odparłam sucho, zbierając się do wyjścia. Ryan jednak znowu mnie przytrzymał, tym razem kładąc mi dłoń na kolanie, od czego zeszywniałam.

— No powiedz, o co chodzi.

— Po prostu... Myślałam, że nie uznajesz biurowych romansów — prychnęłam, bo skoro sam chciał, to nie zamierzałam ukrywać przed nim, co myślę na ten temat. — Moim zdaniem to bardzo nieprofesjonalne.

— Twoim zdaniem, co? — mruknął. — A może ty po prostu jesteś zazdrosna? I też byś chciała mieć ze mną taki biurowy romans?

Pochyliłam się trochę w jego stronę.

— Chyba w twoich snach — wyszeptalam mu prosto do ucha. Zaśmiał się głośno.

— Teraz już na pewno! — przyznał z rozbawieniem, a ja ani przez sekundę w to nie uwierzyłam. — Słuchaj, Diana to nie... Rozmawialiśmy o interesach.

— Taa, jasne. — Uśmiechnęłam się przelotnie, cofając się nieco, żeby móc na niego spojrzeć. — Przy zasłoniętych żaluzjach.

— To było poufne spotkanie, okej?

Podniosłam do góry ręce w geście poddania.

— Nie musisz mi się tłumaczyć, Ryan. Ja tylko wyraziłam swoje zdanie...

— ...oparte na całkiem błędnych przesłankach — dokończył zdecydowanie. — Takich samych, jakie ktoś mógłby teraz wyrazić o nas, skoro też siedzimy w moim gabinecie z zasłoniętymi żaluzjami, prawda? Uwierz mi, że gdybym miał dla kogokolwiek łamać moją zasadę biurowych romansów, to na pewno nie dla Diany. Prędeż dla...

— Jackie z działu kadry? — podsunęłam natychmiast, przypominając sobie, jak kiedyś na widok jej długich nóg i wąskiej talii mruknął: „Żyleta”, gdy myślał, że nie słyszę. Ryan znowu się zaśmiał.

— Tak, dla Jackie z działu HC. Albo dla Lindy z finansów. — Rudowłosą, wysoką Lindę pamiętałam z ostatniego przyjęcia świątecznego. — Albo dla ciebie.

Na tę ostatnią uwagę zareagowałam pełnym niedowierzania westchnieniem. Ryan był niepoprawnym flirciarzem i zawsze robił wszystko, żeby kobiety w jego towarzystwie czuły się docenione. Owszem, dla niego zapewnienie, że przespały się ze mną, gdyby nie łącząca nas służbowa relacja, było ogromnym komplementem. Ryan czasami był szowinistyczną świnią.

Ale przy tym pełną uroku, więc i tak nie potrafiłam się na niego gniewać.

Otworzyłam już usta, żeby coś odpowiedzieć, ale w tej samej chwili usłyszałam gdzieś za sobą:

— Nie przeszkadzam wam przypadkiem?

Strząsnęłam z kolana dłoń Ryana i poderwałam się z sofy, jakbym robiła na niej coś zdróżnego, chociaż przecież nic takiego się nie działo. Poczułam wypełzający na policzki rumieniec, który mniej miał jednak wspólnego z sytuacją, w jakiej zastano Ryana i mnie, a więcej z osobą, która wypowiedziała te słowa.

Poznałam go od razu, chociaż widziałam go raptem parę razy i zamieniłam z nim łącznie może ze dwa słowa (pozdrowienia z mojej strony, które on skwitował niedbałymi mruknięciami). Gdyby postawić Vincenta i Ryana obok siebie, nikt chyba nie powiedziałby, że są braćmi — Vincent miał ciemne, niemalże czarne włosy i równie ciemne oczy, ukryte za prostokątnymi szklami okularów w czarnych oprawkach, był wysoki, postawny i nieco sztywny, zawsze idealnie uczesany i równie idealnie ubrany. Jeśliby zedrzyć mu kołnierzyk koszuli, pewnie miałby pod spodem drugi. Gdy przyglądałam się, jak idzie w naszym kierunku, bez cienia uśmiechu na twarzy o ostrych, niezbyt regularnych rysach, przez które w przeciwieństwie do Ryana nie można by go pewnie nazwać klasycznie przystojnym, przez głowę przemknęła mi myśl, że przez „sztywny” miałam raczej na myśli zachowanie Vincenta. Jego płynnym ruchom nie mogłam bowiem niczego zarzucić, przypominały mi ruchy pantery czającej się do skoku.

Ale może to dlatego, że w przeciwieństwie do Ryana widziałam w Vincencie zagrożenie, jeszcze zanim Kim do mnie zadzwoniła. Może z kolei dlatego, że zawsze był taki małowówny i opanowany, przez co nie mogłam go rozgryźć.

— Vince! — wykrzyknął Ryan, podrywając się z sofy, by powitać brata. Wyminął mnie, jakbym była kukłą, i objął mocno Vincenta. — Co ty tutaj robisz?!

— Kim podobno uprzedziła twoją asystentkę, że przyjeżdżam — brzmiała szorstka odpowiedź. Potem Vincent posłał mi chłodne spojrzenie. — Może była zajęta... czym innym.

Wobec tak jawnego oskarżenia mnie o niekompetencję odzyskałam czucie w nogach i podeszłam bliżej, podnosząc równocześnie wyżej głowę. Nieważne, ile milionów miał na koncie ten facet, nie pozwolę się bezkarnie obrażać.

— Oczywiście, że uprzedziła — potwierdziłam, nie zamierzając się z nim witać, skoro on nie uznał za stosowne tego zrobić. — A ja poin-

formowałam Ryana i zamówiłam transport z lotniska. Samolot miał wylądować o piątej trzydzieści.

— Hmm, zastanawiające. — Vincent uniósł drwiąco brew i już wiedziałam, że zrobił to specjalnie. Przypuszczałam, że nie chciał, żebyśmy wiedzieli, o której przyjedzie do firmy, dlatego celowo szerzył dezinformację. — Może pomyliłyście coś z Kim przez różnicę czasu?

— Między Bostonem a Nowym Jorkiem? — udałam zdziwienie. — Jak ostatnio sprawdzałam, to żadnej nie było.

Ryan klasnął w ręce i jak zwykle rozładował atmosferę, a przynajmniej spróbował to zrobić. Z Vincentem po jednej stronie i ze mną po drugiej to nie mogło być łatwe.

— Nieważne, nieważne, pomyłki przecież się zdarzają, to niczyja wina! Vince, poznałeś wcześniej moją asystentkę? — zapytał swobodnie, jakby nie zauważając napięcia między nami. — To naprawdę nieoczekiwana pomoc.

— Właśnie widziałem — odparł kwaśno, na co miałam ochotę odpowiedzieć jakąś ostrą uwagą, ale zmilczałam, czując kolejny rumieniec. Cholera, przecież nie robiliśmy z Ryanem nic złego! — Tak, poznaliśmy się przy którejś mojej poprzedniej wizycie. Panna... Jones?

Zacisnęłam szczęki, bo kąśliwa uwaga była coraz bliżej, na końcu języka. Serio, Vincent? Skoro miałam na imię Indiana, to z pewnością musiałam nazywać się Jones, tak?

Jego twarz nie zdradzała absolutnie żadnych uczuć, nie potrafiłam więc nawet ocenić, czy powiedział to specjalnie, czy raczej faktycznie była to pomyłka spowodowana tym, co mogło się kojarzyć z moim imieniem. Nic jednak nie mogłam poradzić na to, że posądzałam go od razu o jak najgorsze intencje.

— Rany, Vince, pamięć ci jednak mocno szwankuje — zaśmiał się tymczasem Ryan, najwyraźniej nie podejrzewając brata o celową złośliwość. Kochany, добродuszny Ryan. — Nie, moja asystentka nazywa się Fisher. Indiana Fisher.

— Indiana Fisher. Jakże mogłem zapomnieć — odparł Vincent, posyłając mi kolejne spojrzenie, w którym przysięgłabym, że czało się rozbawienie. Czyżby brat Ryana jednak miał jakieś szczątkowe poczucie humoru? Kompletnie go o to nie posądzałam. — Obiecuję, że teraz już będę pamiętał. W takim razie poznamy się oficjalnie, jestem Vincent North.

Och, jakbym nie wiedziała. Przełknęłam jednak kolejną uwagę i podałam mu dłoń, zauważając mimo woli, że uścisk ma bardzo silny i zdecydowany, a skórę ciepłą i szorstką.

— Indy, zostaw nas teraz samych — poprosił następnie Ryan, dokładnie tak, jak się spodziewałam. — Możesz zająć się tymi umowami.

Jakbym potrzebowała podpowiedzi, czym powinnam się zająć. Jakbym to nie ja sama w dziewięćdziesięciu procentach przypadków organizowała sobie pracę, bo Ryan nie miał o niej zielonego pojęcia. Nie no, skądże.

Wyminęłam ich i zgarnęłam ze stolika papiery.

— Rezerwacja jest potwierdzona — odezwałam się, mijając ich w drodze do drzwi. — Ósma, Ocean Prime, potem Glass Slipper. Bawcie się dobrze, chłopcy.

Zatrzasnęłam za sobą drzwi, nie oglądając się ani razu, chociaż czułam na sobie ich spojrzenia.

Przeszłam się po biurze i wyjątkowo osobiście oddałam poszczególne umowy, zamiast przekazać je kurierom; wszystko po to, żeby być jak najdalej od biura Ryana. Kiedy tam wróciłam, żaluzje były odsłonięte, a w środku pusto. Poszli sobie, obydwaj. Hurra.

Ryan zadzwonił tylko raz, koło dwunastej.

— Wyszliśmy z Vincentem na lunch, gdyby ktoś o mnie pytał — oświadczył. Przewróciłam oczami.

— Tak, pytało o ciebie jakieś piętnaście osób. Spaliło się jedno osiedle, policja podejrzewa podpalenie, więc musisz złożyć zeznania.

— Ha, ha, bardzo śmieszne. — Obydwoje doskonale wiedzieliśmy, że kiedy ktoś pytał o Ryana, w większości przypadków to ja załatwiałam jego sprawę. — Jakby co, oprowadzam brata po firmie.

— Bo nigdy wcześniej tu nie był? — dopowiedziałam sceptycznie. Prychnął.

— Nie, po prostu chciał zobaczyć, co się tu pozmieniało od czasu jego poprzedniej wizyty. Po lunchu odwiedzimy dział finansowy i HC. Jakby ktoś pytał, może dzwonić do mnie na komórkę.

— Czy chodzi o ten dział HC, który mieści się na stronie internetowej Boston VIP Ladies Escorts?

— No popatrz, nie wiedziałem, że znasz takie strony, kochanie! — Od ciebie, pomyślałam złośliwie. — Nie, to może wieczorem. Na razie



jesteśmy w firmie. Wróć, żeby zobaczyć, czy nie urwałaś się wcześniej, więc lepiej niczego nie planuj.

— Wychodzę dzisiaj o piątej i nic nie zmusi mnie do zostania tu dłużej — odpowiedziałam stanowczo.

— Czyżbyś miała randkę? A zapytałaś mnie o zgodę?

— To nie twoja sprawa, co robię po godzinach. — Kiedy tylko to powiedziałam, zrozumiałam, że dałam się wciągnąć w pułapkę. Policzyłam w myślach do pięciu, żeby się uspokoić. Ostatnio wystarczyło naprawdę niewiele, by Ryan wyprowadził mnie z równowagi. — Rozłączam się teraz.

Nie czekając na jego odpowiedź, wcisnęłam czerwony przycisk w telefonie i odłożyłam go powoli, spokojnie. Inaczej mógłby się przypadkiem roztrzaskać o biurko.

Kiedy potem w myślach przeanalizowałam sobie tę ostatnią wymianę zdań, doszłam do wniosku, że nasz stosunek szef – pracownica był jednak trochę dziwny. Ryan mnie prowokował, jakby usiłując wyprowadzić mnie z równowagi, i najwyraźniej sprawiało mu to przyjemność. Ja z kolei nie okazywałam mu ani odrobiny szacunku, bo też w ogóle na to nie zasługiwał. Również dlatego, że zdarzało mu się dzwonić do mnie w weekend, bo nie potrafił wybrać krawatu na randkę, albo w nocy, kiedy zapomniał numeru do korporacji taksówkarskiej, który własnoręcznie wbiłam mu w komórkę. Ryan czasami był po prostu jak małe dziecko.

Albo raczej był tak bardzo bezmyślny.

Żaden z nich, ani Ryan, ani Vincent, nie pokazał się aż do piątej, z czego podświadomie bardzo się cieszyłam. Mimo wszystko podejrzewałam, że unikanie Vincenta nie będzie takie proste — byłam niemalże pewna, że coś knuje i że namówienie Ryana, by w ogóle się tym zainteresował, spełźnie na niczym. A ponieważ zazwyczaj to ja ratowałam Ryana z kłopotów...

Och, przeczuwałam naprawdę spore problemy.

Równo o piątej zebrałam swoje rzeczy i skierowałam się ku windzie, nie czekając na pojawienie się Logana. Mogło oczywiście zdarzyć się tak, że miniemy się po drodze, znając jednak jego punktualność — a raczej jej brak — szacowałam, że powinniśmy spotkać się raczej gdzieś na dole. Przeszłam przez całe piętro, pozdrawiając po drodze tych, którzy zostawiali po godzinach, i życząc im miłego weekendu. Chociaż prawie

z nikim w firmie nie utrzymywałam bliższych kontaktów, znałam się ze wszystkimi.

Dzięki pracy w North&North Development do perfekcji opanowałam umiejętność *small talku*; praktykowałam ją przy każdej możliwej okazji, nawet jadąc windą z całkowicie obcymi mi ludźmi. Dzięki temu większość pracowników kojarzyła mnie i lubiła, gdyż zawsze chętnie słuchałam o ich planach na weekend, chorobach dzieci czy wspomnieniach z wakacji. Dyskutowałam o książkach, które czytali, i filmach, które widzieli, nawet jeśli sama miałam o nich niewielkie pojęcie. Zazwyczaj po prostu wiedziałam, co powiedzieć.

No i bardzo pomagała mi też świetna pamięć. Nazwanie po imieniu osoby, z którą rozmawia się drugi raz w życiu, robi naprawdę dobre wrażenie.

Po drodze na parter wymieniłam kilka uwag z Melissą z działu handlowego — głównie rozmawialiśmy o pogodzie i planach wakacyjnych (Melissa wybierała się do West Palm Beach) — a potem pożegnałam się i wyszłam na zewnątrz, dążąc ku bramkom, przez które bez przepustki nie można było przedostać się ani do środka, ani na zewnątrz. Już z daleka zauważyłam opartego o ladę recepcji Logana, który najwyraźniej w najlepsze flirtował z Rhondą. Pokręciłam z niedowierzaniem głową i pomachałam mu; miał chyba trzecie oko gdzieś na czole, bo skinął na mnie i natychmiast wrócił do przerwanej rozmowy, nie odrywając wzroku od Rhondy.

Zawsze mnie zaskakiwało, że mój brat jest atrakcyjny dla kobiet. Dla mnie pozostawał trollem, ale obiektywnie rzecz biorąc, pewnie mógł się podobać. Bardzo dużo ćwiczył i był naprawdę dobrze zbudowany, poza tym wysoki, jak wszyscy faceci w rodzinie Fisherów. Dzięki ciemnoblond włosom i niebieskim oczom miałby może urodę typowego surfera z Kalifornii, gdyby nie fakt, że ciężka praca w różnych dziwnych godzinach sprawiła, że wiecznie wyglądał na zmęczonego albo przepitego. A po wielu godzinach spędzonych w pracy rzadko chciało mu się golić, więc często chodził z kilkudniowym zarostem na twarzy. Zaskakujące, jak dużo dziewczyn się na to łapało; chyba kojarzył im się z Brudnym Harrym albo Harrym Hole'em (tym granym przez Michaela Fassbendera) czy innym policjantem po przejściach.

— Cześć, Indy. — Powitał mnie szerokim uśmiechem, gdy tylko przeszłam przez bramki, i przyciągnął do siebie mocno. — Pamiętasz, że miałem zaświecić odznaką?

— Jasne, akurat bym ci pozwoliła — wymamrotałam. — Zresztą chyba byłeś zajęty, nie? Cześć, Rhondo. Kończysz niedługo?

— Dwanaście godzin zmiany, złotko — wyszczerzyła się Rhonda, cały czas nie spuszczać jednak wzroku z obejmującego mnie Logana. — Za chwilę spadam do domu i nikt mnie nie zatrzyma! Chyba że ty chciałbyś to zrobić, Logan.

Logan roześmiał się i ze smutkiem pokręcił głową.

— Niestety, jestem już umówiony z moją upierdliwą siostrą. — To mówiąc, cmoknął mnie w czubek głowy. — I resztą wspaniałej rodziny. Może innym razem, co?

Po tych słowach puścił do Rhondy oko, a zanim zdążyła odpowiedzieć, pożegnałam się pospiesznie i odciągnęłam go w stronę wyjścia, śmiejąc się w głos.

— Nie będziesz podrywał moich koleżanek z pracy — oświadczyłam, prowadząc go na zewnątrz, gdzie nadal prażyło słońce. Była to przyjemna odmiana po biurowej klimatyzacji. Chwyciłam Logana za ramię i pociągnęłam w stronę parkingu.

Minęliśmy kilku ważniaków w garniturach, wracających jeszcze do biura, z którego sama właśnie uciekałam, nie zwróciłam jednak na nich większej uwagi. Mój dzień, a nawet tydzień pracy już się skończył i nie zamierzałam ani razu oglądać się na pozostawiony za plecami wiezowiec.

Kiedy byłam w dobrym humorze, nazywałam to oddzielaniem życia prywatnego od służbowego. Kiedy byłam w złym — ucieczką i próbą zapomnienia o pełnionej przeze mnie w firmie Ryana funkcji.

— Niby dlaczego nie?! Przecież jestem taki grzeczny! — zawołał tymczasem Logan z oburzeniem, by po chwili obrzucić mnie uważnym spojrzeniem. — Musimy jechać jak najszybciej, powinnaś się jeszcze przebrać. Jeśli tata zobaczy cię w tym korporacyjnym wdzianku, dostanie zawału.

Och, to było więcej niż pewne. W końcu moi rodzice nadal uważali, że korporacja wycisnie ze mnie wszystkie soki i wyrzuci wypaloną, ledwie żywą i w depresji, gdy przestanę być potrzebna.

Czasami sama się tego bałam.



# PROGRAM PARTNERSKI

— GRUPY HELION —



1. ZAREJESTRUJ SIĘ
2. PREZENTUJ KSIĄŻKI
3. ZBIERAJ PROWIZJĘ

Zmień swoją stronę WWW w działający bankomat!

**Dowiedz się więcej i dołącz już dzisiaj!**

<http://program-partnerski.helion.pl>

GRUPA  
**Helion** 

# KIEDY ZAKRES OBOWIĄZKÓW ZACZYNA WYKRACZAĆ POZA UMOWĘ...

## INDIANA FISHER, ABSOLWENTKA HARVARDU I ASYSTENTKA DYREKTORA GENERALNEGO

w renomowanej bostońskiej firmie deweloperskiej, początkowo żywiła przekonanie, że jej posada będzie trampoliną do sukcesu. Niestety, po roku spędzonym na podawaniu kawy, kserowaniu dokumentów, a przede wszystkim na chronieniu szefa firmy, Ryana, przed konsekwencjami jego własnej nieodpowiedzialności entuzjazm Indiany nieco przygast.

Kiedy w Bostonie pojawia się starszy brat szefa, Vincent — ponury, mrukliwy, i zdaniem dziewczyny, raczej podejrzany — życie zawodowe Indiany gwałtownie przyspiesza. Rozdarta pomiędzy mieszanymi uczuciami wobec Vincenta a potrzebą chronienia swojego szefa młoda asystentka wkrótce przekonuje się, że ktoś chce przejąć firmę Ryana. Ktoś, kto nie zawaha się przed żadną podłością, by osiągnąć cel. Indiana, coraz mocniej uwikłana w niejasne układy biznesowe, nie przypuszcza, że i jej może grozić niebezpieczeństwo...

**LUDKA SKRZYDLEWSKA funduje swoim bohaterom przejażdżkę emocjonalnym rollercoasterem. Przejażdżkę, której finału nie da się przewidzieć aż do samego końca. Dołączysz? Niezapomniane przeżycia gwarantowane!**

Patroni medialni:



 **editio**red

 Księgarnia internetowa:  
**<http://editio.pl>**

 Zamówienia telefoniczne:  
**0 801 339900**  
 **0 601 339900**

Sprawdź najnowsze promocje:  
📌 <http://editio.pl/promocje>  
Książki najchętniej czytane:  
📌 <http://editio.pl/bestsellery>  
Zamów informacje o nowościach:  
📌 <http://editio.pl/nowosci>

Helion SA  
ul. Kościuszki 1c, 44-100 Gliwice  
tel.: 32 230 98 63  
e-mail: [editio@editio.pl](mailto:editio@editio.pl)  
<http://editio.pl>

ebook dostępny na:  
**ebookpoint**



ISBN 978-83-283-6391-5



Cena 39,90 zł